

# LITERACKA NAGRODA EUROPY ŚRODKOWEJ **ANGELUS**

ARCHIWUM UM WROCLAW



Szanowni  
Państwo!

**Już za kilka dni  
w gmachu Opery  
Wrocławskiej  
odbędzie się**

**uroczysta Gala Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus. Dla mnie jest to zawsze olbrzymie przeżycie duchowe i niepowtarzalna okazja do spotkania z najlepszą literaturą i jej twórcami.** Wśród wszystkich dziedzin sztuki tylko literatura wyraża się w języku, który jest wyznacznikiem człowieczeństwa i nośnikiem kultury. Dlatego literatura jest najważniejsza ze wszystkich sztuk. Wrocław – miasto wyrosłe na gruncie wielorakich tradycji i kultur – docenia jej znaczenie w dwójnasób i podejmuje wiele kroków, by promować najlepszych autorów i ich dzieła.

Wśród finalistów tegorocznego Angelusa jest wielu młodych pisarzy, co zaskoczyło nawet jurorów – przedstawicieli środowiska literackiego. Jurorzy twierdzą wręcz, że dokonała się zmiana pokoleniowa w pisarskiej reprezentacji Europy Środkowej. To krzepiąca wiadomość i znak, że młodzi ludzie, którzy mają inne doświadczenia, inne poglądy i inne rzeczy do powiedzenia, przejmują na siebie odpowiedzialność za kulturę i tradycję. W ślad za zmianą piszących przyjdzie zmiana głównych wątków pojawiających się w twórczości literackiej. Młodzi autorzy nie mają potrzeby rozprawiania się z przeszłością, lecz poruszają w swoich utworach tematy bieżące lub oddają pole wyobraźni, a ta jest motorem rozwoju. W tym roku metamorfozę rozpoczęła również sama uroczystość, która ewoluuje

w kierunku festiwalu literackiego. Najważniejsze zmiany to przeniesienie Gali w odświeżonej formule do gmachu Opery Wrocławskiej oraz przesunięcie terminu z grudnia na październik. Angelus rozstał się w ten sposób z Wrocławskimi Promocjami Dobrych Książek, które dominowały, przytłaczały uroczystość, i stał się niezależnym świętem literatury, jej twórców i miłośników. Październik to również tradycyjnie miesiąc wielu znaczących polskich i międzynarodowych wydarzeń literackich, chociażby takich, jak literacka nagroda Nobla (być może Angelus nie zajmie natychmiast jej miejsca, ale próbować warto). Chcemy, by Angelus rozwijał swoje skrzydła, a cykl kolejnych zgłoszeń i nominacji do nagrody wraz z uroczystym finałem stał się osią, wokół której będą się skupiać inne wydarzenia, takie jak otwarte spotkania z autorami, odbywające się w tym roku w tygodniu poprzedzającym Galę w księgarni Tajne Kompletty, lub spotkania w szkołach i na uczelniach.

Już w 2016 roku Wrocław będzie Europejską Stolicą Kultury. W tym kontekście Angelus może stać się sercem obchodów „Literackiej Stolicy Kultury” i okazją do promowania dobrej polskiej i europejskiej literatury. Wszak nie od dziś wiadomo, że ludzie coraz częściej rezygnują z czytania książek na rzecz innych aktywności. Dla mnie, miłośnika słowa pisanego, to bardzo przykre. Liczę więc, że obchody ESK w 2016 roku oraz kolejne odsłony Angelusa zwrócą ponownie uwagę społeczeństwa na wagę literatury. Tegoroczna Literacka Nagroda Europy Środkowej odbywa się po raz siódmy, mam nadzieję, że siódemka okaże się szczęśliwa dla nowych celów, które przed Angelusem postawiliśmy.

Prezydent Wrocławia – **RAFAŁ DUTKIEWICZ**



**Wrocław** miasto spotkań

**TYGODNIK  
POWSZECHNY**

„ANGELUS” – dodatek do „Tygodnika Powszechnego” nr 43  
Redakcja: GRZEGORZ NUREK  
Statuetka „Angelusa” autorstwa Ewy Rossano, FOT. MIROSLAW KOCH

# HERB EUROPY

**W** książce „Moja Europa”, napisanej wspólnie przez Jurija Andruchowycza i Andrzeja Stasiuka (dwóch wybitnych pisarzy, z których jeden już otrzymał nagrodę Angelusa, a drugi niechybnie ją otrzyma w najbliższych latach), odnajdziemy następujący koncept: „Jeżeli miałbym wymyślić dla Europy Środkowej jakiś herb, to w jednym z jego pól umieściłbym półmrok, a w jakimś innym pustkę. To pierwsze jako znak nieoczywistości, to drugie jako znak wciąż nieoswojonej przestrzeni. Bardzo piękny herb o nieco niewyraźnych konturach, które można wypełnić wyobraźnią. Albo snem”. Jeśli bez herbu Europy Środkowej się nie obejdzie, to kolejnym istotnym krokiem powinno być powołanie nagrody literackiej dla autora najlepszej książki prozatorskiej tego obszaru geograficznego. Całe szczęście, że taka nagroda już istnieje. I to od sześciu lat. Jej fundatorem jest Miasto Wrocław, a nagroda nazywa się Angelus. Dotychczasowymi jej laureatami byli: Jurij Andruchowycz, Martin Pollack, Péter Esterházy, Josef Škvorecký, György Spiró i Swietłana Aleksijewicz. Dziesięciosobowe jury pod przewodnictwem Natalii Gorbaniewskiej z 43 zgłoszonych do konkursu tytułów wybrało najpierw 14, a następnie 7 książek-finalistek. Polską prozę

reprezentują w tym roku Magdalena Tulli, Michał Witkowski i Jacek Dehnel, prozę czeską Tomáš Zmeškal, ukraińską Andrij Bondar, węgierską László Krasznahorkai, chorwacką Miljenko Jergović. W niniejszym dodatku przedstawiamy tegorocznych nominowanych i recenzujemy książki, które znalazły się w finale konkursu.

Laureata poznamy w sobotę 20 października podczas Gali w Operze Wrocławskiej. Producentem Gali jest Teatr Muzyczny Capitol, wyreżyseruje ją Tomasz Man. Zwycięzca otrzyma statuetkę Angelusa autorstwa Ewy Rossano i czek na 150 tys. złotych. Nagroda przyznawana jest za najlepszą książkę prozatorską opublikowaną w języku polskim w roku poprzednim. Ponadto Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa im. Angelusa Silesiusa w Wałbrzychu ufundowała nagrodę 20 tys. złotych dla tłumacza książki. Jeśli jury wyróżni polskiego pisarza, nagroda ta przypadnie autorowi najlepszego przekładu książki obcojęzycznej.

W imieniu redakcji „Tygodnika Powszechnego” zapraszam do lektury dodatku i udziału w spotkaniach z pisarzami.

GRZEGORZ NUREK

## Wojna końca świata

### LITERACKĄ OBSESIĄ KRASZNAHORKAIA JEST SAMOTNA JEDNOSTKA W OPRESYJNYM OTOCZENIU:

*czy to będzie zapyziała puszczańska wieś, prowincjonalne zakłamanie miasteczko czy stolica świata, zawsze bohater węgierskiego prozaika będzie samotny w tłumie.*

KRZYSZTOF VARGA

László Krasznahorkai wyrobił sobie osobny, niepowtarzalny styl narracji: długie okresy zdaniowe, fraza wyszlifowana na najwyższy połysk, elegancja w konstruowaniu zdań, a jednocześnie dziwna, niepokojąca atmosfera i odrealnienie świata przedstawionego – to wszystko składa się na pewną, rozpoznawalną od pierwszych akapitów manierę. Jeśli trzeba byłoby użyć jednego słowa na jego piarstwo, należałoby powiedzieć: „niepokój”. I jednocześnie dojmująca klaustrofobia, ciągłe przeczcucie katastrofy, jakie towarzyszy jego bohaterom, a przez to i nam, czytającym tego niezwykłego pisarza.

#### Najniższy krąg

Urodzony w 1954 r. w trzydziestotyśmicyńskim mieście Gyula, tuż przy granicy rumuńskiej, zadebiutował wyjątkowo mocno, powieścią „Szatańskie tango”, która do tej pory jest jego najsłynniejszą książką. Był rok 1985, powoli dogorywał „gulaszowy komunizm” i chylił się ku upadkowi system kádarski, podobnie zresztą, jak to się działo w całej Europie Środkowej. W „Szatańskim tan-

gu” Krasznahorkai jak nikt inny pokazał zupełną degrengoladę społeczeństwa zmulonego nudą i beznadzieją prowincji, smutkiem komunizmu i klęską „gospodarki niedoboru”, nędzą zapomnianej przez Boga i Pierwszego Sekretarza wsi gdzieś w odmętach puszczy. Świata, o którym pamięta jedynie właśnie Szatan, bo to jego królestwo. Świata, w którym, zapijając się palinką, ludzie balansują pomiędzy rozpaczą a nadzieją na ucieczkę z tego najniższego piekielnego kręgu, czekając na obiecanego Mesjasza, który zamiast wyprowadzić ich z domu niewoli, okazuje się być zwykłym hochsztaplerem.

Krasznahorkai nie przesadzał. Węgry to nie tylko Budapeszt i Balaton, czy też Eger i Tokaj, do których pielgrzymują polskie wycieczki w celach gastronomiczno-dionizyjskich. Proszę pojechać gdzieś głęboko w puszcze, na wschodnio-południowe Węgry, by zobaczyć zupełnie inny świat niż ten z folderów turystycznych. Tam naprawdę można złapać potężną węgierską melancholię, a może nawet nizinną depresję.

Z „Szatańskiego tanga” Béla Tarr, niebawem pełnoprawny reżyser, podobnie jak Krasznahorkai w literaturze, całkowicie osobny na tle światowej kinematografii, trudno porównywalny z jakimkolwiek innym artystą, zrobił filmowe arcydzieło pod tym samym tytułem. To był początek niezwyklej współpracy, bo Krasznahorkai i Tarr stworzyli na lata wyjątkowy duet reżysera i scenarzysty. Tarr swoje filmy opierał na powieściach i scenariuszach Krasznahorkaia, co owocowało dziełami wyjątkowymi, jak wspomniane „Szatańskie tango” (ponad siedem godzin hipnotyzującego czarno-białego filmu, składającego się tylko z 39 scen!), „Kárhozat” („Potępienie”) czy „Harmonie Werckmeistersa” według powieści Krasznahorkaia „Melancholia sprzeciwu”. Ostatnim wspólnym dziełem duetu był „Koń turyński” sprzed dwóch lat, po którym Tarr pożegnał się z reżyserią, ogłaszając, że nie będzie już kręcił filmów. Obecnie zakłada szkołę filmową w Sarajewie.

#### Z Berlina w świat

Powieść „Wojna i wojna” ukazała się w 1999 r. i jest to jak dotąd przedostatnia powieść autora „Szatańskiego tanga”. Jeśli chodzi o prozę fabularną, wydał potem jeszcze w 2003 r. powieść „Északról hegy, Délről tó, Nyugatról utak, Keletről folyó” („Góra z Północy, jezioro z Południa, drogi z Zachodu, rzeka ze Wschodu”). Choć oczywiście na tym się nie kończy jego aktywność pisarska. Ukazały się bowiem jeszcze tomy opowiadań, esejów, wywiadów. Na 2013 r. zapowiedziana jest najnowsza książka pisarza, zbiór opowiadań „Megy a világ előre”.

Pisarz znany jest także ze swojej fascynacji Dalekim Wschodem, odbył szereg podróży do Chin, Mongolii, Japonii, jego żona jest zresztą sinologiem. Od 2007 r. mieszka w Berlinie. Ta wiadomość jest o tyle istotna, że Berlin właśnie, czy szerzej Niemcy, są miejscem, gdzie rozpoczynają się czy też nabierają tempa międzynarodowe kariery węgierskich pisarzy. W Berlinie mieszka też pierwszy węgierski literacki noblista Imre Kertész, częstym gościem w stolicy Niemiec jest Péter Esterházy, podobnie jak Péter Nádas, czołowy węgierski prozaik, w Polsce słabo niestety znany, choć jego nazwisko pojawiło się nawet w czasie spekulacji przed przyznaniem tegorocznego Nobla.

„Wojna i wojna” jest książką inną niż „Szatańskie tango” czy „Melancholia sprzeciwu”, tym bardziej że fabuła w swoich najważniejszych odsłonach rozgrywa się nie na depresyjnej węgierskiej prowincji, ale w sercu świata, w Ameryce, w Nowym Jorku. Protagonista powieści, György Korim, ma lat 44 (nie doszukujemy się tu jednak naszej romantycznej mistyki), pochodzi, jak można przypuszczać, z Gyula (ponieważ rodzinne miasto Krasznahorkaia leży właśnie „220 kilometrów na południowy wschód od Budapesztu”). Korim likwiduje swoje sprawy w tymże mieście, wyrusza do Budapesztu, a stamtąd do Nowego Jorku, gdzie zamierza popelnąć samobójstwo, choć przecież wydaje się, że akurat

Węgry są najlepszym miejscem dla uczy-nienia takiego ostatecznego gestu. To wioska z „Szatańskiego tanga” byłaby idealną scenarią dla skończenia ze sobą.

Jednocześnie owo samobójstwo ma być epilogiem wielkiego projektu, którego dokonania Korim planuje, a mianowicie przepisania na komputerze i wrzucenia do internetu tajemniczego rękopisu, odnalezionego przez siebie w miejskim archiwum (Korim jest jego pracownikiem).

#### Apokalipsa na co dzień

Naturalnie to krótkie streszczenie może nieco nas zdezorientować, a może nawet ubawić, bo w końcu, dlaczego akurat w Stanach ma – nieznaną zresztą angielskiego – nasz bohater przepisywać tekst i upubliczniać w sieci? Globalna sieć pozwala robić takie rzeczy bez ruszania się z domu, powiedzmy z Gyula.

Pamiętajmy jednak, że powieść pisana była u schyłku XX w., kilkanaście lat temu, internet był wtedy zupełną nowością. Dziś nie tylko nie wyobrażamy sobie życia bez niego, ale traktujemy jako nieusuwalny element codzienności, nie myśląc właściwie o tym, że kiedyś globalna sieć po prostu nie istniała albo że była zupełną, kosmiczną nowością. Jeśli nadejdzie jakiś koniec świata, to zacnie się on zapewne od wielkiej awarii internetu.

Korim dociera do Nowego Jorku, gdzie staje się nawet bardziej samotny niż Valuska, bohater „Melancholii sprzeciwu” – literacką obsesją Krasznahorkaia jest samotna jednostka w opresyjnym otoczeniu, czy to będzie zapyziała puszczańska wieś, prowincjonalne zakłamanie miasteczko czy stolica świata, zawsze bohater węgierskiego prozaika będzie samotny w tłumie. Nawet wtedy, gdy pozna rodaka, w tym przypadku tłumacza o nazwisku Sárváry, zapijającego się chymą z wielkimi artystycznymi aspiracjami, planującego – jakże to częste – stworzenie epokowego dzieła, które zapewni mu nieśmiertelność.



# Bestseller

FOT. KAI PFAFFENBACH / REUTERS / FORUM

## Historie i traumy

Ów tajemniczy manuskrypt jest opowieścią o czterech mężczyznach przemierzających kraje i epoki, znajdujących się zazwyczaj tam, gdzie następuje krach, a przynajmniej kryzys jakiejś cywilizacji: na starożytnej Krecie, w Rzymie, w Kolonii, gdzie buduje się najsłynniejsza w Niemczech gotycka katedra. Ów rękopis o sygnaturze „IV.3/1941-42” wskazuje na to, że powstał, bądź został zarchiwizowany w latach 1941-42, czyli w czasie II wojny światowej, a więc w momencie Apokalipsy i rozpadu świata oświeceniowego, demokratycznego. Krasznahorkai unika jednak wyraźnego nawiązania opowieści do II wojny światowej – wszystko ma opierać się raczej na wielkiej metaforze upadku.

Nie oczekujemy od Krasznahorkaia bezpośredniości, on raczej unika tzw. „faktów historycznych”, skłaniając się ku uniwersalizmowi swych opowieści. Wszak i „Szatańskie tango” i „Melancholia sprzeciwu” są wielkimi powieściami o końcu świata. Koniec świata bowiem nie musi oznaczać ataku kosmitów czy idiotyzmów o kalendarzu Majów, czym żywi się kultura masowa i hollywoodzkie produkcyjniaki; koniec świata dzieje się nieustannie, w takich właśnie miejscach jak puszczańska wioska czy nieduże miasteczko na obrzeżach kraju. Tak jak w „Melancholii sprzeciwu”, gdzie oszalały tłum pod wpływem jakiegoś amoku rusza do demolowania szpitala i miasta. Świat kończy się tam, gdzie pojawiają się fałszywi prorocy, jak Irimias w „Szatańskim tangu” czy szef wędrownego cyrku, zwany Księciem, w „Melancholii”.

Rzeczywistość składa się z nieskończonej ilości końców świata, mówi nam Krasznahorkai, ponieważ każdy z nas przeżywa w pewnym momencie swój własny, osobisty koniec świata. Najgorzszy ze wszystkich. ◆

→ KRZYSZTOF VARGA (ur. 1968) jest prozaikiem, dziennikarzem, znawcą kultury węgierskiej. Ostatnio opublikował powieść „Trojiny” (2012).



LUKASZ GIZA / AGENCJA GAZETA

**STANISŁAW BEREŚ, CZŁONEK JURY:**  
*Nagroda Angelus istnieje już siedem lat, a jeszcze nie otrzymał jej Polak. To brzmi jak przygana, ale i trzeźwiąca diagnoza. Jak będzie w tym roku?*

**GRZEGORZ NUREK: Jak wygląda ostatni, najbardziej tajemniczy etap pracy jury konkursu? Czytają Państwo wcześniej przygotowane rekomendacje, a następnie na ich podstawie dążą do osiągnięcia konsensusu? Wyboru dokonuje się w tajnym głosowaniu? A może przez aklamację?**

**STANISŁAW BEREŚ:** Każde jury ma swoją specyfikę i inny sposób procedowania. Mam niezłe porównanie, ponieważ byłem wieloletnim jurorem nagrody literackiej Nike. Tam dyskusje między członkami kapituły potrafiły trwać nawet osiem godzin, bywało, że decydowano dopiero, gdy goście wchodzili na salę. Pamiętam jedno z posiedzeń finałowych, gdy prof. Maria Janion krzychała na nas: „Już prezydent przyjechał, a Państwo jeszcze nie podjęliście decyzji!”

Przy obradach jury Angelusa takich sytuacji nie było, może dlatego, że każdy juror był zobligowany – w półfinale

– do przesłania wcześniej swoich typów wraz z pisemnym uzasadnieniem. Niektórzy pisali praktycznie gotowe recenzje. Ja również. To powodowało, że obrady podczas ostatniego posiedzeniu przebiegały sprawnie, wyboru dokonywano szybciej, ale też brakowało dreszczyku niepewności i emocji, ponieważ wszyscy wcześniej zdradzili swoje gusta.

Aby element niespodzianki czy sporu przywrócić, w tym roku zrezygnowaliśmy z obowiązku przedkładania pisemnych uzasadnień, choć naszej przewodniczącej, Natalii Gorbaniewskiej, raczej się to nie podobało. W historii Angelusa tylko dwukrotnie dochodziło do wyboru niemal jednogłośnie, przez aklamację: przy „Dwunastu kręgach” Jurija Andruchowicza oraz „Przypadkach inżyniera ludzkich dusz” Josefa Škvoreckého. Podczas innych posiedzeń wybory były bardziej skomplikowane, a głosy rozkładały się niemal równomiernie przy dwóch tytułach, bo zwykle ostatni bój rozgrywał się pomiędzy dwoma książkami.

Wiele razy jurorzy lamentowali, darli włosy z głów i perorowali, gdy „ich” faworyt przepadał wcześniej w głosowaniu, ale nie było wyboru, demokracja jest bezduszna, zmuszeni byli przetrzącać swoje poparcie na innych autorów. W tym roku, przypuszczam, finałowa rozgrywka rozegra się między dwoma, najwyżej trzema tytułami. Sądzę, że stanie się to już przy pierwszym „rozdaniu”. Głosujemy niby tajnie, bo na kartkach, ale jakaż to tajemność, gdy każdy słyszał, za czym gardłowali inni lub za co dawali sobie „ręce uciąć”.

**Tegoroczna lista finalistów przynosi kilka niespodzianek. Po pierwsze – do głosu dochodzi młode pokolenie europejskich pisarzy, po drugie – nie trudno zauważyć mocną pozycję twórców z Polski (troje nominowanych), po trzecie – zabrakło w finałowej siódemce książek reporterskich, co czwarte – dominują powieści. Co Pana najmocniej zaskoczyło, zmartwiło lub zachwycało w tym finałowym zestawieniu?**

Moim osobistym bólem i rozczarowaniem jest to, że żadna z książek reporterskich nie znalazła się w finale. Reportaże Jacka Hugo-Badera, Filipa Springera, Pauliny Wilk to pozycje, które widziałem nawet jako kandydatury do nagrody. A jednak przepadły. Ogoromił ich żaluję. Życie jurora to czysty ból. Żal mi też książek Arkadiusza Pacholskiego i Martina Pollacka; namawiałem kolegów do nich, ale co z tego, skoro większość kręciła nosem.

Wracając zaś do reportażu, zdradzę, że spór o jego artystyczną pozycję toczyliśmy w gronie jurorów Angelusa niemal od początku istnienia nagrody. Dla wielu członków kapituły, niestety chyba większości, książki reporterskie sytuują się bliżej dziennikarstwa niż prozy wysokoartystycznej. To stereotypowe – moim zdaniem – klasyfikowanie reportażu bierze się z nieustannego konfrontowania go z powieścią, ale przede wszystkim z niskiej oceny sposobu funkcjonowania reporterów. Literaturoznawcy i krytycy podświadomie uważają, że to się robi „samo”, a jeżdżenie i nagrywanie ludzi to turystyczna przygoda lub czysta przyjemność. A tak nie jest. Nie umiem tego kołgom wyperswadować. Dla nich reportaż nie posiada indygenatu wysokoartystycznego. Odmawiają mu „szlachectwa”.

Jurorzy tak Nike, jak i Angelusa podążają często za społecznymi oczekiwaniami czytelnictwa, czekając na powieść, która będzie autonomicznym światem, swoistym makro- lub mikrokosmosem, funkcjonującym na własnych prawach, a jednocześnie odwzorowującym historyczną lub współczesną rzeczywistość oraz biegi losów ludzkich. Tęsknoty za powieściami typu *tolstij roman* objawiają głównie starsi jurorzy, młodszy chętniej optują za krótszymi formami literackimi – opowiadaniem lub esejami. Ale jak leży na stole 900-stronicowe dzieło, które się czyta z otwartą gębą, to każdemu miękną nogi.

W tym roku, jak Pan zauważył, jest wyjątkowo liczna reprezentacja polskich autorów. Ale też nie czarujemy się, analogii do przyznawania → str. IV

## JURY NAGRODY ANGELUS

**NATALIA GORBANIEWSKA** (ur. 1936) – przewodnicząca jury. Rosyjska poetka, dziennikarka, tłumaczka literatury polskiej, działaczka społeczna. W latach 1969-71 uwięziona za udział w 8-osobowej demonstracji na moskiewskim placu Czerwonym przeciwko wkroczeniu wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji. Dedykowaną jej piosenkę wykonywała w latach 70. Joan Baez. Z ZSRR wyemigrowała w 1975 r. Pracowała jako dziennikarka w Radiu Swoboda, współpracowała z rosyjskimi pismami emigracyjnymi, jest tłumaczką miesięcznika „Nowaja Polsza”.

**STANISŁAW BEREŚ** (ur. 1950) – historyk literatury, eseista, poeta, tłumacz. Profesor polonistyki i dziennikarstwa Uniwersytetu Wrocławskiego, były juror Nagrody Literackiej Nike, do 2003 r. redaktor miesięcznika „Odra”. Opublikował m.in. książki-wywiady ze Stanisławem Lemem (1987), Tadeuszem Konwickim (1987), Andrzejem Sapkowskim (2006), a także „Historię literatury polskiej w rozmowach. XX–XXI wiek” (2002).

**PIOTR KĘPIŃSKI** (ur. 1964) – poeta, krytyk literacki, pracował m.in. w „Czasie Kultury” i „Dzienniku” oraz miesięczniku o rynku książki „Megaron”. Przez pięć lat był zastępcą szefa działu zagranicznego „Newsweeka”.

**JULIAN KORNHAUSER** (ur. 1946) – poeta, prozaik, krytyk literacki, tłumacz literatury serbskiej i chorwackiej. Profesor UJ, kierownik Katedry Filologii Chorwackiej, Serbskiej i Słoweńskiej UJ. Współzałożyciel i członek krakowskiej grupy poetyckiej Teraz, jeden z przedstawicieli Nowej Fali. Należał do sygnatariuszy „Listu 59”, wyrażającego protest przeciwko zmianom w Konstytucji PRL, za co objęty został zakazem druku. Laureat m.in. Nagrody Fundacji im. Kościelskich i Europejskiej Nagrody Poetyckiej.

**RYSZARD KRYNICKI** (ur. 1943) – poeta, tłumacz, współzałożyciel Wydawnictwa a5, specjalizującego się we współczesnej poezji. Jeden z najwybitniejszych twórców Nowej Fali. W latach 1972-73 pracował w redakcji dwutygodnika „Student”. Należał do sygnatariuszy „Listu 59”, wyrażającego protest przeciwko zmianom w Konstytucji PRL, za co został objęty zakazem druku. Związany z opozycją demokratyczną, publikował swoje książki w drugim obiegu i wydawnictwach emigracyjnych, m.in. w „Zapisie”. Laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich, Fundacji im. A. Jurzykowskiego oraz Nagrody Gundolfa.

**TOMASZ ŁUBIEŃSKI** (ur. 1938) – dramaturg, prozaik, eseista i publicysta. W latach 70. był członkiem redakcji warszawskiego tygodnika „Kultura”, w 1978 r. współzakładał wydawane poza cenzurą pismo „Res Publica”. W latach 80. współpracował z londyńskim „Aneksem” i paryskimi „Zeszytami Literackimi”. Od 1989 r. redaktor naczelny miesięcznika „Nowe Książki”.

**KRZYSZTOF MASŁOŃ** (ur. 1953) – publicysta, krytyk literacki od lat związany z „Rzeczpospolitą”. Recenzent książkowy tej gazety i komentator listy bestsellerów „Magazynu Literackiego Książki”. Laureat nagród Ikara i PIKowego Lauru.

**JUSTYNA SOBOLEWSKA** (ur. 1972) – krytyk literacki, dziennikarka. Od 2001 r. redagowała dział książkowy w „Przekroju”, potem pracowała jako redaktor w dziale kultury „Dziennika”. Obecnie jest związana z tygodnikiem „Polityka”. Współautorka książki „Jestem mamą” (2004), antologii opowiadań „Projekt mężczyzna” (2009) i autorka „Książki o czytaniu” (2012).

**MIROŚLAW SPYCHALSKI** (ur. 1959) – prozaik, publicysta, krytyk, autor filmów dokumentalnych. W latach 80. związany z opozycją demokratyczną, internowany w stanie wojennym. Pracował w pismach drugiego obiegu, publikował m.in. w paryskiej „Kulturze”. W latach 1995-96 był kierownikiem telewizyjnego magazynu kulturalnego „Pegaz”.

**ANDRZEJ ZAWADA** (ur. 1948) – historyk literatury, krytyk, eseista. Związany z „Literaturą Ludową”, „Twórczością” i „Nowymi Książkami”. Profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, kieruje Katedrą Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej. Jest członkiem Komitetu Nauk o Literaturze PAN oraz kolegium redakcyjnego dwumiesięcznika „Silesia Nova”.

# KSIAŻKI

## Macie swojego Kereta

**Ukraiński poeta i tłumacz Andrij Bondar (ur. 1974) lepszego debiutu prozatorskiego nie mógł sobie wymarzyć.** Nie dość, że „Historie ważne i nieważne” znalazły się w finale Nagrody Angelus, to po wrocławskiej gali pisarz będzie musiał uczestniczyć w prezentacji tego zbioru, który swoją premierę ma właśnie na... Ukrainie.

Wszystko za sprawą Bohdana Zadury, który teksty Bondara przetłumaczył na polski i wydał we wrocławskim Biurze Literackim. Tak więc o mały włos bylibyśmy świadkami bezprecedensowej sytuacji, kiedy w finale nagrody Europy Środkowo-Wschodniej znalazłaby się książka niewydana w ojczyźnie autora. Zupełnie jakby na Ukrainie działał rozbudowany system cenzury, zaś sam pisarz był co najmniej dysydentem. Tak jednak, odpukać, nie jest, ponieważ autor opowiadania publikował (w prasie), a rodzimy wydawca, żeby wyjść z twarzą, pokazując Polakom, że też o swojego poetę dbać potrafi, wydał „Historie...” pod zmienionym tytułem („Marchewkowy łód”), rozszerzając całość o ponad sto miniaturek (w polskiej wersji jest ich dziewięćdziesiąt).

„Historie ważne i nieważne”, choć podział na istotność tekstów jest jak najbardziej zbędny, to krótkie opowiadania dotyczące spraw Bondarowi najbliższych. Nie ma tu wielkich literackich tematów, nie ma polityki. Pisarz woli snuć opowieści o dzieciństwie czy wspominać starych przyjaciół. Warto jednak podkreślić, że siłą książki nie jest dobór tematów, ale sposób, jak w zaledwie 1800 znakach potrafi o nich Bondar opowiedzieć. Nieważne, czy pisarz jest melancholikiem, czy beztroskim ironistą. W obu przypadkach okazuje się bystrym obserwatorem rzeczywistości. I, co ciekawe, nie tylko ukraińskiej. W opowiadaniu „Papież”, starając się udowodnić, że Polacy prawdziwą miłością obdarzyli w dziejach tylko Jana Pawła II, pisze: „Juliusza Słowackiego? Nie, ten esteta za bardzo wyprzedził swój czas. Może Józefa Piłsudskiego? Może kochali, ale może bardziej szanowali i się go bali. Witolda Gombrowicza? Tego też się bali i dotąd się boją – prawdomówca zasrany i na dodatek pedał (...). Josepha Conrada? Uciekinier, poszukiwacz przygód, wątpliwy Polak, bo z Berdyczowa (...) Czesława Miłosza? Jeszcze jeden Litwin, chociaż i Polak. Romana Polańskiego? Żyd,

BIURO LITERACKIE



ANDRIJ BONDAR

pedofil, esteta i jeszcze raz Żyd...”. Przykładów zresztą jest znacznie więcej.

Andrij Bondar doskonale czuje się również w snuciu baśni; niemal surrealistycznych opowieści, jak rozpoczynający zbiór „Szary gołąb”, w którym tytułowy ptak ożywa po tym, jak matka bohatera przyszywa mu głowę do tułowia za pomocą nitki i igły. Innym razem jest wręcz złośliwym prześmiewcą, jak w opowiadaniu „Mój skinhead” (bohater bijący dotkliwie obcokrajowców okazuje się być lekarzem, który sumiennie udziela pobitym pomocy, gdy ci trafiają do szpitala). Twarzy zresztą ma Bondar wiele, bo i okazuje się być na przykład mentorem, kiedy wyjaśnia, czym różni się bandura od bałałajki. Nie da się natomiast ukryć, że w każdym z tych tekstów bliski jest pisarstwu Etgara Kereta. Oczywiście, jeszcze nie tak odważny, ale za to znacznie bardziej nam zrozumiały.

Nie tylko z powodu kulturowej bliskości czy świetnego przekładu Bohdana Zadury, który podobno cierpi na dziwną przypadłość tłumaczenia na polski wszystkiego, co po ukraińsku przeczyta. Stąd podobno na prośbę jednego poety o napisanie krótkiej recenzji jego debiutanckiego tomu, Zadura odpisał: „Recenzji jeszcze nie napisałem, ale wiersze już przełożyłem”. Myślę, że także kultura polska ma na specyficzny humor Bondara niemały wpływ. Dlaczego? Jeśli ktoś w wieku 27 lat przekłada „Ferdynurke” Gombrowicza, później na przykład „Zrób sobie raj” Szczygła czy „Lubie-

## Historie i traumy

→ medali narodowej ekipie sportowej nie będzie. Nagród literackich nie otrzymuje się drużynowo. Jeżeli jury zdecyduje o wyborze autora polskiego, wskazuje jedną książkę, inne pretendenci nie będą miały na to wpływu. Można jednak myśleć i tak: Nagroda Angelus istnieje już siedem lat, a jeszcze nie otrzymał jej rodak. To brzmi jak przygana, ale i trzeźwiąca diagnoza. Jak będzie w tym roku? Nie wiem. Myślę jednak, że jeśli ujawni się jakiś juror-patriota, będziemy mu przypominali zasadę, że nie liczy się narodowość twórcy, lecz jakość książki.

Statystycznie rzecz ujmując, przy trzech kandydaturach z Polski istnieje większe prawdopodobieństwo przyznania Angelusa rodakowi. Ja jednak głoszę chłopską teorię, która mówi: między utworami polskimi a obcymi nie ma pełnej symetrii, książki zagraniczne są już sprawdzone w boju, ponieważ często są laureatkami konkursów zagranicznych, mają za sobą po parę przekładów. Nie są to więc utwory dziewicze, ale z przeszłością frontową. Czyli książki-weterani. Co prawda, żaden z polskich twórców też nie jest już debiutantem, oni też mają za sobą przekłady, ale czy faktycznie mogą konkurować z książkami odnoszącymi sukcesy w Europie,

pokażą najbliższe dni. A potem tygodnie i lata. Osobiście boję się o polskie utwory w takiej rywalizacji, bo nasi autorzy nie objawiają przesadnej ochoty do opowiadania, fabularyzowania, za to dużo do kręcenia się wokół własnego pępka. Mówię o pępku psychicznym oczywiście.

**Czy dostrzega Pan wspólną dominantę siedmiu finałowych książek? Jeden z jurorów powiedział, że mniej w nich zmagania się z historią.**

Myślę, że to nie jest trafne określenie, ale wiem, z czego wynika. Po prostu w dotychczasowych edycjach Angelusa dominowały trzy bloki tematyczne: rozliczenia z II wojną światową, okresem komunizmu oraz traumą emigracji, która często stała się udziałem wielu pisarzy z Europy Środkowo-Wschodniej. W tym więc sensie te wątki są mniej eksponowane w obecnych książkach-finalistkach, choć bynajmniej z nich nie zniknęły. Historia jest w nich wciąż obecna. Książka Miljenki Jergovicia jest skomplikowaną i bolesną opowieścią o historii Bałkanów, „List miłosny pismem klinowym” Tomáša Zmeškala to studium pięknego uczucia zniszczonego przez komunistyczny aparat terroru, „Wojna i wojna” László Krasznahorkaia

cofa się momentami do lat 40. XX wieku, akcja „Saturna” rozgrywa się w początkach XIX w., opowiadania Magdaleny Tulli też mają oryginalnie kreślone tło historyczne. Nie, nie, tu jest dużo historii. Przecież nawet „Drwal” Witkowskiego nie jest wolny od obciążenia PRL-u.

Widzę jednak inną dominantę, jaką są człowiecze cierpienia i traumy. Nie zawsze spowodowane przez dziejowe wypadki. Nawet w książkach polskich autorów, które są mniej dramatyczne, mamy do czynienia z przykrymi traumami i urazami. Ich geneza często tkwi w wybujałym ego lub neurotycznych charakterach, ale nikt nie powie, że bohaterowie nie cierpią, tylko to sobie wmówili. W „Saturnie” Dehnela widzimy, jak bujny i egoistyczny artysta niszczy swych najbliższych, czyli symbolicznie ich pożera – jak Saturn swoje dzieci. We „Włoskich szpilkach” obserwujemy toksyczne relacje rodzinne i szkolne, które stygmatyzują bohaterkę na całe życie. A „Drwal” Witkowskiego tylko udaje, że jest beztroski i śmieszny. Ta książka zdradza ciche udręki przekwitania, utraty atrakcyjności, samotności polowań na łuja, świadomość cynizmu „warszawki” i świata mediów, wreszcie gorczyz ugania się za mirażami kariery. ◆

# FINALISTÓW

wo” Witkowskiego, nie może rzeczywistości traktować zbyt poważnie. Skąd więc u pisarza w tych wesołych opowiadaniach tyle smutku? Co prawda w jego translatorskich dokonaniach są również reportaże Tochmana („Jakbyś kamień jadła”), ale to już chyba specyfika Ukraińców, nawet jeśli, jak pisze Bondar, w jego krwi jest 33 proc. krwi polskiej.

ŁUKASZ SATURCZAK



● Andrij Bondar, „Historie ważne i nieważne”, tłum. Bohdan Zadura, Biuro Literackie, Wrocław 2011

## Udρέka i ekfrazja

**Druga powieść w dorobku Jacka Dehnela to błyskotliwy i okazały problemowo utwór, łączący w sobie kilka wzorów opowiadania.** W podstawowej warstwie jest nowoczesną powieścią biograficzną poświęconą osobie i twórczości Francisca Goi. Zarazem równoprawnym bohaterem tej opowieści jest postać, o której współcześni właściwie niczego nie wiedzą – jedyny syn genialnego malarza, Javier. Od pewnego momentu na scenie powieściowej pojawia się trzecia męska postać – syn Javiera i wnuk Francisca, Mariano. Tak więc w „Saturnie” dominuje literackie zmyślenie luźno powiązane z faktami, które znaleźć można w dostępnych biografiach wielkiego Hiszpana i opracowaniach traktujących o jego epoce. Kolejną konwencją jest powieść rodzinna krążąca wokół węzła edypalnego i dramatu niespełnionego ojcostwa. „Saturn” jest także uniwersalną opowieścią o artyście, przechodzącą miejscami w esej o sztuce. Należy też dodać, że w materię fabularną wcinają się liczne ekfrazy (tj. literackie opisy dzieł malarskich), które z jednej strony pełnią funkcję kontrapunktu, z drugiej zaś strony komentują zdarzenia rozgrywające się w planie anegdotycznym powieści.

PIOTR SUNDERLAND



JACEK DEHNEL

Zjawiskowość „Saturna” polega na tym, że wszystkie te konwencje i skupiska znaczeń są – by tak rzec – sobie potrzebne, toteż ostatecznie stanowią literacką jedność, a sama powieść wymyka się utartym, nawykowym klasyfikacjom – nie można o niej powiedzieć, że jest beletryzowaną biografiją, esejem o malarstwie czy duszy artysty bądź też niezobowiązującym zmyśleniem. Prof. Maria Poprzęcka w szkicu poświęconym utworowi Dehnela przedstawiała długą listę dzieł literackich – od romantyzmu po współczesność – które wzięły się z zafascynowania osobą i twórczością Goi. Autor „Saturna” wszedł więc w gęste pole tradycji, ale nie ugiął się pod jej ciężarem – wyraźnie zaznaczył odrębność własnej wypowiedzi.

Jeżeli w ogóle można mówić o jakimś celu poznawczym czy problemowym ukierunkowaniu, byłaby nim próba zrozumienia najbardziej tajemniczego dzieła Goi, cyklu fresków znanych jako „Czarne obrazy”. Jacek Dehnel – jak objaśnił w posłowiu – poszedł za głosem jednego ze współczesnych badaczy, który ustalił, iż malowidła te powstały po śmierci malarza, a ich rzeczywistym autorem mógł być Javier. Ten

ostatni w „Czarnych obrazach” zakodował historię rodzinną oraz znalazł sposób na wyrażenie arcytrudnej relacji z ojcem-potworem: despota, lubieżnikiem i mitomanem. Innymi słowy, w przedstawieniu malarskim należącym do wspomnianego cyklu, tzn. w „Saturnie pozerającym jedno ze swoich dzieci”, to on (Javier) miał być owym dzieckiem.

To, dlaczego został „pożarty” przez potężnego i despotycznego ojca, wcale nie jest jasne. Pisarz prowadzi śledztwo w tej sprawie. Jednym z ciekawszych tropów jest odkrycie burzliwego homoseksualnego romansu Goi. Pomysłowych fantazji tego rodzaju jest tu sporo, a sam pisarz daleki jest od prostoliniowych myśli i rozpoznań: piekło rodzinne (w domu artysty) nie jest tu bynajmniej ujmowane jako cena za artystyczne spełnienie. Byłaby to konkluzja nazbyt oczywista. Portret Goi – geniusza i potwora – daleki jest od jednoznaczności, co oznacza należy za bodaj najważniejszą zaletę tej powieści.

Nie sposób nie odnieść się – z podziwem i uznaniem – do sztuki pisarskiego Jacka Dehnela. Przeplatające się monologi „mężczyzn z rodziny Goya” (Francisca i Javiera; głos Mariana stanowi tylko dopełnienie tych dwu wiodących monologów) utrzymane są w odmiennych stylach i zestawione na zasadzie kontrastu; „gładka”, neutralna mowa syna ma być tu odpowiedzią na wulgarność i bezceremonialność języka ojca. Ale prawdziwym majstersztykiem, jeśli idzie o operowanie językiem, są opisy „Czarnych obrazów”. Posłuchajmy początkowego fragmentu opisu malowidła „Bezwstyd”: „Ten, który przychodzi, widzi je tylko przez moment – obraca się i światło wydobywa z grubej czerni jego młodzięczy, dziecięcy niemal profil. Zerka. Gdyby patrzył świadomie, wiedziałby, czego się spodziewać, i odwróciłby oczy szybciej, a tak, niechący, trwa w swoim obrocie odrobinię za długo i widzi wszystko”.

DARIUSZ NOWACKI



● Jacek Dehnel, „Saturn. Czarne obrazy z życia mężczyzn z rodziny Goya”, W.A.B., Warszawa 2011

## Zagłada współczucia

**Miljenko Jergović należy do licznej grupy urodzonych w czasach Tity pisarzy, którzy ślady swojej twórczości pozostawiają wciąż, mimo upływu 20 lat od rozpadu Jugosławii, na całym jej byłym terytorium – „od Wardaru do Triglava”.** Choć od 1993 r. mieszka w Zagrzebiu i to w Chorwacji jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych pisarzy, zalicza siebie do twórców bośniackich. Pochodzi z tej Bośni, która już nie istnieje, lub tej, którą – jak chce wielu – należy jeszcze odtworzyć: wielokulturowej, otwartej i tolerancyjnej. Tęsknota za miejscem, w którym współistniały różne narodowości i religie, bywa dziś zresztą silniejsza od samej jugonostalgii, która wyeksploatowana przez popkulturę i wybiórczo traktująca powojenną historię południowych Słowian coraz częściej zahacza o kicz.

Zadebiutował w wieku 22 lat zbiorem wierszy. Na przełomie lat 80. i 90. pracował jako korespondent chorwackiej prasy w Bośni. W 1993 r. ukazała się jego pierwsza proza – ciepło przyjęta (także na Zachodzie) książka „Sarajevo Marlboro” – zbiór opowieści o losie młodych Muzułmanów, Chorwatów i Serbów z obłożonego miasta, opowiedzianych z humorem, kontrastującym z okolicznościami tragicznej historii. Wyjazd z obłożonego przez Serbów miasta do bezpiecznego Zagrzebia sprawił, że wielu sarajewian uznało go za osobistego wroga – tym bardziej, że w kolejnych latach Jergović krytykował w prasie kondycję współczesnych społeczeństw: chorwackiego i bośniackiego, wydał także autobiograficzną „Mama Leone” (1999), książkę opowiadającą o świecie z punktu widzenia małego dziecka, które obserwuje jak dorośli – jeden po drugim – wpadają w wir szaleństwa i wojny.

Książki Jergovicia przetłumaczono na ponad 20 języków. Czytelnicy cenią jego umiejętność opowiadania prostych,

ludzkich historii, nawiązywania do literackich tradycji Bośni, Hercegowiny i Dalmacji, wreszcie – uzależniania atmosfery i indywidualnym, jergoviciowskim sentymentalizmem, który zawsze pozostaje autentyczny i nie zamienia się w mit o wyłącznie dobrej przeszłości.

„Srda śpiewa o zmierzchu w zielone świątki” przedstawia historię pięciu osób, które połączyła śmierć Srđy Kapurowej, dwunastoletniej dziewczynki-żebaczki, zamordowanej na ulicach Zagrzebia. Tragiczne wydarzenie staje się pretekstem do pokazania tej samej historii z pięciu różnych perspektyw.

BRUNO KONJEVIC



MILJENKO JERGOVIĆ

Bohaterami rozdziałów powieści są ludzie, którzy symbolizują skrajne tożsamości narodowej byłej Jugosławii. Wojna na Bałkanach to nie tylko zniszczone budynki, to przede wszystkim zagłada współczucia i przemiana ludzi w bestie napędzane przez nacjonalizm. W tym sensie toczyła się ona także w spokojnym, położonym z dala od frontu Zagrzebiu. Ukazując tę samą historię z perspektywy różnych bohaterów, Jergović zdaje się pokazywać, że każdy wybór, którego dokonujemy w życiu, ma charakter metafizyczny – i że liczy się tylko jego efekt, nie zaś przyczyna.

Książka jest też świadectwem związku pisarza z Zagrzebiem, miastem, do którego przeniósł się, gdy wybuchła wojna w Bośni. W wywiadach mówi o tym mieście, że przez lata zmieniło swój charakter – stało się bardziej otwarte i tolerancyjne. Wtedy jednak, na początku lat 90., było siedliskiem nacjonalizmu, tym agresywniejszego, że w mieście, które znajdowało się z dala od frontu nie mógł być on na co dzień konfrontowany z tragedią wojny.

Aby poznać relacje w byłej Jugosławii, nie trzeba już czytać socjologicznych i politologicznych analiz – wystarczy sięgnąć po powieści Jergovicia. Tak jak w swoich poprzednich książkach autor swobodnie korzystał i łączył różne literackie tradycje Bałkanów – sięgając nawet po bośniackie, melancholijne pieśni – sevdalinki, czy tradycyjny śpiew a cappella z Dalmacji – tak w „Srđzie...” połączył ze sobą skrajne charaktery, które razem złożyły się na niemal kompletny obraz postjugosłowiańskiego społeczeństwa na początku lat 90.

MARCIN ŻYŁA



● Miljenko Jergović, „Srda śpiewa o zmierzchu w zielone świątki”, tłum. Magdalena Petryńska, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2011

## Zawierucha w archiwum

**György Korim, bohater wydanej w 1999 r. „Wojny i wojny” László Krasznahorkaiego, mieszka w niewielkim miasteczku, gdzie od wielu lat pracuje jako archiwista.** Jego życie trawi przerażająca rutyna. Każdego ranka żegna się z żoną, pokonuje niewielki dystans dzielący dom



→ od zakładu pracy, podbija kartę i zabiera się za porządkowanie dokumentów. Nagrodą za jego poświęcenie i sumiennosc ma być awans na głównego archiwistę – spełnienie marzeń każdego z pracowników rządowego gmachu. Krasznahorkai czyni bohaterem człowieka, który egzystuje w świecie zredukowanym do minimum, który z atencją pielęgnuje swe jednowymiarowe życie, chwalcąc los za spokój od dziejowej zawieruchy.

Konflikt wybucha z chwilą, w której Korim doznaje emocjonalnego wstrząsu. Nie wiadomo, co jest jego rzeczywistym źródłem. On sam tłumaczy jedną z osób, że wszystkiemu winny jest Hermes, bóg kupców, złodziei i wędrowców, z którym zetknął się przy okazji lektury jakiejś książki. Ze skrupulatnością godną archiwariusza, Korim zaczyna studiować materiały poświęcone tej mitologicznej postaci. Hermes staje się jego bogiem, całkowicie opanowuje jego wyobraźnię, pokazując mu ciemną stronę rzeczywistości. Nie niszczy od razu. Raczej stopniowo zwodzi na manowce, odrywa od codziennych zajęć. Zrazu wydaje się, że to spotkanie przynosi wolność. Korim w wyniku owego doświadczenia postanawia zerwać wszystkie relacje: rozwodzi się, oddala od przyjaciół, odmawia uczestnictwa w społecznych rytuałach, które nadawały jego życiu jednostajny rytm.

Pewnego dnia bierze do ręki teczkę z dokumentami rodziny Wlassichów. Znajduje w niej nieoznaczony maszynopis, a w nim fascynującą historię. Od tej pory wszystkie jego działania podporządkowane są dwóm celom: stara się zrozumieć

GRAZYNA MAKARA



LÁSZLÓ KRASZNAHORKAI

sens opowieści, która – niczym kolejne narzędzie Hermesa – pogłębia w nim doświadczenie kryzysu, po drugie chce ocalić ją od zniszczenia. Zaskoczona przypadkiem rozmowa dwóch mężczyzn o nowinkach technicznych podpowiada mu rozwiązanie. György sprzedaje cały majątek i wyrusza do Nowego Jorku, gdzie będzie mógł przepisać maszynopis i udostępnić go w internecie.

Krasznahorkai przedstawia nam zawartość maszynopisu za pośrednictwem relacji Korima, który opowiada o swym projekcie wszystkim napotkanym. Robi to z taką intensywnością, że zaraża swą historią innych, skłaniając ich do powtarzania jej kolejnym osobom: mężom, żonom, przypadkowym ludziom. Jedni czynią to z rozbrawieniem, widząc w archiwście niegroźnego szaleńca. Drudzy przeklinają go za kłopoty, które na nich sprowadził swym nieprzewidywalnym zachowaniem.

Historia opowiada o czterech wędrowcach, których spotykamy po raz pierwszy u wybrzeży starożytnej Krety, gdzie w wyniku wichury rozbija się ich okręt. Mieszkańcy leżącego nieopodal Kommos wydobywają ich z wraku i zapewniają opiekę. O przybyściach nic nie wiadomo – ani skąd przybyli, ani dokąd zmierzają. Z czasem mężczyźni wtapiają się w lokalną społeczność, wykonują drobne prace. Interesują ich tylko możliwości obronne wyspy. Gdzie są najważniejsze warownie? Jak liczne jest wojsko? Miejscowi odpowiadają, że nie ma żadnych warowni ani wojska, a żołnierze chwytają za broń tylko podczas świąt, bo od niepamiętnych czasów panuje pokój.

Korim tłumaczy, że autor maszynopisu wielokrotnie powtórza ten sam scenariusz. Wędrowcy pojawiają się w różnych miejscach i w różnych epokach, poszukując – jak się zdaje – miejsca wolnego od wojny, miejsca, które będzie w stanie obronić się przed zagładą. W ślad za nimi podróżuje Mastemann, który zawsze występuje w roli herolda nadciągającej zawieruchy. W każdej z sześciu części maszynopisu historia bohaterów zaczyna się od początku. Kasser, Falke, Bengazza i Toot nie zachowują wspomnień z przeszłego życia. Znają

jedynie swój cel i próbują go zrealizować w miejscu, w którym ludzie danej epoki widzą refugium pokoju. Za każdym razem ich wysiłki kończą się fiaskiem.

Krasznahorkai wykorzystuje dobrze znaną metaforę czasu, który wypadł z kolein, wprowadzając do rzeczywistości bezprzykładny chaos, który „oznacza utratę domu, przywiązania, przynależności, zaufania, nagle w wielkiej skali pojawia się niepewność i równie nagle okazuje się, że ta niepewność jest jedynym stałym elementem”. W porównaniu z owym wywichnięciem czasu klasyczna wojna wydaje się zjawiskiem przewidywalnym: wiadomo bowiem, skąd przychodzi zagrożenie, znany jest wróg i jego metody, na jego przemoc można odpowiedzieć mniej lub bardziej skuteczną obroną. Wojna, przed którą uciekają bohaterowie opowieści, przed którą próbuje schronić się także Korim, nie ma w sobie żadnej przewidywalności. Jej narzędziem może być wszystko: nie tylko żagwie i broń, ale także każdy gest i każde słowo.

Krasznahorkai koncentruje się przede wszystkim na podejmowanych próbach powstrzymania nadciągającej wojny. Nie opisuje wywołanych przez nią zniszczeń. Śledzimy jedynie chaotyczne i obsesyjne działania Korima, a za jego pośrednictwem – daremne próby czterech wędrowców. Niektórzy krytycy sugerowali, że „Wojna i wojna” jest powieścią, w której węgierski autor wpadł w pułapkę manieri pisarskiej, tworząc opowieść-wydmuszkę, po Borgesowsku odklejoną od lokalnego konkretnego, wykolejoną ze świata. Alegoryczny tryb opowiadania ma jednak zalety – Krasznahorkai wywikłał się dzięki niemu z matni powracającego wątku prowincji, która czeka na radykalną zmianę. Wyrwał się ze schematu własnej powieści.

GRZEGORZ JANKOWICZ



● László Krasznahorkai, „Wojna i wojna”, tłum. Elżbieta Sobolewska, W.A.B., Warszawa 2011.

## Wyzwolenie, ukojenie

Magdalena Tulli ogłosiła książkę zupełnie niepodobną do swoich wcześniejszych utworów. „Włoskie szpilki”, wybitna opowieść autobiograficzna, rozpisana na siedem powiązanych ze sobą opowiadań, wzięła się – jak objaśniła pisarka w jednym z wywiadów – ze zmęczenia fikcją, rozczarowania szyfrem i kamuflażem. I choć Tulli zerwała z wielopiętrową metaforyką, wyszła z papierowego świata pozornej realności, ocaliła elegancję i precyzję wysłowienia.

Z opowieści tej wyłania się portret osoby rozdwojonej i zależnionej. Bezimienna bohaterka z powodu włoskiego ojca żyje w dwu światach: lepszym i piękniejszym (Mediolan) oraz gorszym i brzydszym (Warszawa), jest dwujęzyczna. Jej sytuacja rodzinna nie jest jasna, a związek z matką, zwłaszcza w świetle opowiadania „Fusy”, należy chyba nazwać relacją toksyczną. Oziębłość emocjonalna matki – jak bodaj wszystkie traumy, o których w tej książce się opowiada – wynika z tego, że „przeszłości jest za dużo”. Co to znaczy?

Matka była więźniarką obozu koncentracyjnego. „Było, minęło (...). Kto zamiast rozpamiętywać to, co utracone, zabrał się szybko do roboty, mógł mieć nadzieję, że pręcej zapomni (...). Przypadki ludzi zrozpaczonych i wykolejonych kwitowano wzgardliwą ciszą. Żaloba na nikim nie robiła wrażenia, słabość budziła zażenowanie, w cenie była nienawiść i pogarda, zaciśnięte pięści sugerowały godną szacunku siłę charakteru”. Piekielno kacetu „utwardziło” tedy matkę i jednocześnie zdewastowało życie głównej bohaterki. „Twarda” czy raczej oziębła rodzicielka utraciła zdolność okazywania uczuć, czyniąc ze swej córki emocjonalną kalekę.

Tulli w wielu miejscach „Włoskich szpilek” przekonuje, jak wielkie znaczenie (rzecz jasna, negatywne) miała wojenna katastrofa dla osób urodzonych nawet dziesięć lat po zakończeniu wojny. W tytułowym opowiadaniu przedszkolaki, które posusiały się w majtki, słyszą, że nadają się do spalenia, na każ-

WYDAWNICTWO NISZA



MAGDALENA TULLI

dym kroku ujawnia się – jak powiada narratorka opowiadania „Bronek” – „energia przemocy”, która zawiązała się w epoce pogardy i która „przechodzi na własność kolejnych pokoleń, czy tego pragną, czy nie”.

Niezwykły i do głębi przejmujący jest moment, w którym dorosła już bohaterka odkrywa prawdę na temat przeszłości. Stało się to wtedy, kiedy „w domu czas zaczął płynąć w odwrotnym kierunku” – cierpiąca na chorobę Alzheimera matka przestała odróżniać wspomnienia od rzeczywistości i dlatego jej historia po wielu latach okazała się dostępną.

Jak już zasygnalizowałem, na węzłową traumę (konsekwencje obozowej traumy) nakładają się inne zmyły i katastrofy – problemy w szkole, nieumiejętność nawiązywania kontaktu w grupie rówieśniczej, brak pewności siebie, niewyobrażalna samotność dziecka pozostawionego samemu sobie, w tle zaś mamy dojmującą rzeczywistość Polski Ludowej lat 60. oraz nad wyraz mroczny akord tamtej epoki (Marzec 1968).

Prosta tej opowieści (podanej w siedmiu odsłonach) jest zwodnicza, choć z powodzeniem można ją wpisać w nurt współczesnych narracji rodzinno-rozliczeniowych. Relacje pomiędzy sobą-małą dziewczynką a sobą-dorosłą kobietą są tu dość skomplikowane, pojawiają się figury sobowtórów, a najbardziej zagęszczona metaforycznie część („Ucieczka lisów”) stanowi nie lada wyzwanie lekturowe. We „Włoskich szpilkach” nie ma słabych miejsc; każde słowo i zdanie wydaje się uzasadnione, precyzyjnie skreślone, celne.

Wymowa „Włoskich szpilek” nie jest bynajmniej krańcowo pesymistyczna. Mimo że pisarka zwraca się ku mrocznej przeszłości, nawiązuje do bolesnych zdarzeń z dzieciństwa i wczesnej młodości, o których zapewne chciałaby zapomnieć, ostatecznie snuje swoją opowieść z perspektywy aktualnej, a więc, jeśli można tak powiedzieć – po „wyzwoleniu” czy „ukojeniu”. Nie sposób nie dostrzec autoterapeutycznego wymiaru tego utworu, nie zauważyć utrwalonego na kartach tej prozy procesu „dochodzenia do siebie”, układania się z własnym dziedzictwem i biografią. Zarazem niepodobna powiedzieć, że „Włoskie szpilki” to przedsięwzięcie czysto prywatne.

DARIUSZ NOWACKI



● Magdalena Tulli, „Włoskie szpilki”, Wydawnictwo Nisza, Warszawa 2011

## Opowieść chłodnego morza

Mamy późną jesień 2010 roku, jesteśmy nad zimnym, sparalizowanym „wielką smutą posesonową” Bałtykiem, gdzieś w pobliżu Międzyzdrojów. Stoi tam leśny domek, w nim zaś wcale nie mieszka tytułowy drwal, lecz pogrążony w depresji

## FINALISTÓW

muzyk i antykwariusz Robert. Takiego mężczyznę – zaniedbanego, ale też objętego homoseksualnym spojrzeniem – narrator nazywa borsukiem. Powiada: „interesują mnie milcząca facieci w małych domkach, którzy czasem w tym domku czują się samotni i trzeba przyjechać, by z nimi pomilczeć. Pogapić się w piec. Powąchać, jak pachnie ogień, wilgoć, kamienie (...) Narąbać drewna, nie golić się. Zborsuczyć”. Borsuczenie ma tu sens terapeutyczny. Bo też tym, który przybywa nad zimne morze, jest... Michał Witkowski, upadły pisarz celebryta z Warszawy, znany szerszej publiczności nie jako autor wymyślnego „Lubiewa”, lecz jako „mąż Jacykowa”, bohater głupawych plotek i brukowych skandali.

„Drwal” jest powieścią ostentacyjnie autobiograficzną, ale też skrajnie autoironiczną – Witkowski gra tutaj swoim publicznym wizerunkiem, przedstawia się jako neurotyk uzależniony od leków, „gruby peda”, zmanierowany i zepsuty niedawnym powodzeniem (bardziej salonowym niż literackim).

Akcja utworu obejmuje siedem dni. W tym czasie Michał odkrywa mroczne tajemnice miejsca, do którego przybył. Szybko podejmuje decyzję, że sekrety Roberta i osób z jego otoczenia przekuje w opowieść kryminalną. Na naszych oczach prowadzi więc prywatne śledztwo, to zaś go aktywizuje – i jako pisarza, i jako homoseksualnego mężczyznę, który zdecydowanie przedwcześnie wszedł w smugę cienia.

Rodzący się na naszych oczach kryminal grzęźnie w meandrach wątków pobocznych i dygresji. Czytelnik poniekąd słusznie traci zainteresowanie tym, kto zabił, a kto był tylko zamieszany w zbrodnię. Natomiast wątek romansowy ze strony na stronę nabiera rumieńców. Oto bowiem na scenie powieściowej pojawia się figura znana z wspomnianego „Lubiewa” (2005) – prosty chłopak Mariusz, „lujek pospolity, kundelek (...), gęba rumiana i pocziwa”. Michał nawiązuje z nim bliski kontakt, ale „młody byczek” staje się raczej wychowankiem niż kochankiem naszego rekonwalescencja; relacja między tymi bohaterami tkwi jak gdyby w zawieszaniu. Nawiasem mówiąc, ów wątek miłosny przez wielu komentatorów „Drwala” został uznany za najciekawszy. Kinga Dunin stwierdziła, że „Drwal” to „piękna i romantyczna w gruncie rzeczy ciotowska love story”, Piotr Kępiński zauważył, iż Mariusz, „ów gombrowiczowski luj, jest głównym bohaterem tej powieści” i że sprawy z nim związane wyznaczają najważniejszy obszar problemowy utworu.

Warto dostrzec także inne atrakcje – na przykład wątek metaliteracki. Kapitalne są tedy fragmenty, gdzie Michał snuje rozważania na temat powieści, która „wreszcie spodoba się krytykom” i za którą „dostanie wszystkie nagrody”. Pojawia się nawet parodystyczny zarys takiej powieści (utwór „Skrzypce”) – rzecz o córce esesmana, która zakochuje się w Żydzie; kto wie, czy po zdobyciu „wszystkich nagród” utworu nie przemie na ekran sam Spielberg. Groteskowe wyolbrzymienie? Jasne, że tak, ale przecież zrodzone z przenikliwych obserwacji, obejmujących także własne istnienie w świecie literackim. Pod tym względem Witkowski jest pisarzem niezrównanym



MICHAŁ WITKOWSKI

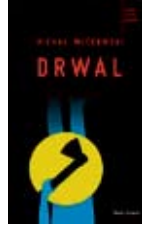
– samoświadomym jak nikt inny.

Godzi się również odnotować, że i tym razem autor „Margot” i „Fototapy” daje wyraz fascynacji sztucznym, podrobionym światem. Nieodmiennie zachwyca go symulakryczna i do bólu tandetna rzeczywistość, którą bezbłędnie wychwytuje i na swój sposób opiewa. W posezonowych Międzyzdrojach rybacy sprzedają wprost z kutrów jako świeże rozmrożone ryby, uprzednio nabyte w szczecińskim Tesco, Bałtyk

wyrzuca na plażę śmiercionośny iperyt zamiast bursztynów, a jeśli latem ktoś obnosi się z opalenizną, to na pewno nabytą w solarium.

Mimo depresyjnych klimatów i melancholii, która spowija „Drwala”, dobry humor Michała Witkowskiego nie opuszcza.

DARIUSZ NOWACKI



● Michał Witkowski, „Drwal”, Świat Książki, Warszawa 2011

## Miłość i tresura

**Mają szczęście. U nich, w Czechach, prawdopodobnie nie wypada być słabym, przeciętnym pisarzem.** Jak inaczej tłumaczyć to, że proza czeska przez lata odnosiła triumfy i niejako z każdym następnym debiutem literackim potwierdza swoją mocną markę? Może grafomanów przed publika-



TOMÁŠ ZMEŠKAL

cją straszy w Pradze duch Kafki, może cienie innych wielkich pisarzy? Kto tam wie. Jedno jest pewne, którekolwiek nazwisko pisarza czeskiego przywołamy – Hrabala, Čapka, Haška, Pavla, Škvoreckiego, Havla, Balabána, a z żyjących – Kundere, Ajvaza, Hakla, Šabacha, Fahrnera, Topola, Hůlovą i wielu, wielu młodszych kolegów po piórze – odnajdziemy w ich książkach oryginalny styl, poczucie humoru, celność fraz i sądów, jednym słowem *crème de la crème*...

Aby iść w ich ślady, próbować dotrzymywać kroku w pisaniu, trzeba mieć odwagę, więcej nawet; być bezczelnym, mieć nieprzeciętny talent, zmysł obserwacji, wiedzieć, co czułość, a co ironia. Może to słowa na wyrost, ale tego wszystkiego nie brakuje 48-letniemu Tomášowi Zmeškalowi. Syn Czeski i Kongijczyka za swą debiutancką powieść „List miłosny pismem klinowym” otrzymał w 2009 r. nagrodę Josefa Škvoreckiego, dwa lata później nagrodę Unii Europejskiej. Po tym, jak dziennik „Lidové noviny” w ankiecie „Kniha roku” uznał ją za jedną z dwóch najważniejszych książek, które ukazały się w Czechach w 2008 r. (zaraz za kilkutomowym „Leksykonem czeskiej literatury”), „List...” stał się bestsellerem.

Zmeškal studiował literaturę angielską w Londynie, jego pasją jest też grafika artystyczna. W 2009 r. ukazała się jego kolejna powieść „Životopis černobílého jehněte”, która podzieliła krytykę; część przyjęła ją dość chłodno, zdaniem innych powieść dorównuje debiutowi.

Fabuła „Listu miłosnego pismem klinowym” może niekiedy przypominać losy bohaterów „Žartu” Milana Kundery. Głównych bohaterów powieści Zmeškala: Josefa i Kwietę – szczęśliwych, młodych małżonków z dzieckiem, na skutek intrygi przyjaciela i dawnego admiratora Kwiety Hynka Janského, dotykają represje. Czechosłowacja, rok 1948, oskarżenie o „działanie na szkodę państwa”, w konsekwencji wyrok sześciu lat przymusowej pracy w kopalni uranu dla Josefa.

Rozłąka małżonków, kolejne draństwo „przyjaciela”; uwiedzenie, seksualne podporządkowanie i akty przemocy. „Życzliwy przyjaciel” po latach opisujący ze szczegółami w anonimie

Josefowi uzależnienie jego żony od oprawcy. Jak na anonim zareaguje Josef? Jak ty byś zareagował, gdyby to dotyczyło twojego małżeństwa? Ile przeszkód jest w stanie pokonać miłość? Dlaczego tak późno i czy było warto? Skąd wreszcie to pismo Hetytów, w którym zapisano czule słowa?

Czeski prozaik używa głosu każdemu: katu i ofiarom. Oto słowa Hynka: „On tylko realizował geometrię władzy, to Josef jako statystyk był chyba w stanie pojąć. I co, nie rozumie? On, który stale żyje z Kwietą, chociaż został, można powiedzieć, wykastrowany? On chce poznać prawdę? To niech ją ma. Niech się nią nacieszy, niech się ją nasyci, niech się nią udławi, tą całą swoją pierdoloną prawdą. Jakby nie wiedział, że na wojnie i w miłości wszystko jest dozwolone! Że ten będzie górą, kto nie cofnie się przed niczym, pójdzie na całość, czy to w podboju Państwa Środka, Tysiącletniej Rzeszy czy krainy serca”.

Zmeškal brawurowo przeplata i łączy różnorakie wątki fabularne, wikła historie śmieszne i tragiczne, daje panoramę trzech pokoleń czeskich intelektualistów, wartką akcją wzboga o nuty czułości kontrastujące z aktami niegodziwości i barbarzyństwa. Konstrukcja powieści dość eksperymentalna, nowatorska nie pozwala domyślić się zbyt wcześnie losów bohaterów.

Jeden z nich zastanawiając się nad swoją wiarą, powie: „Kiedy jeszcze wierzyłem, byłem przekonany, że Bóg jest katolikiem. Bynajmniej nie wydawało mi się to dziwne”. „List” nie jest lekturą *sensu stricto* religijną, tak jak nie jest tylko literaturą rozrachunkową. Jak każda dobrze napisana powieść, potrafi jednak dotknąć otchłani duszy, rozpoznać jej lęki, bóle i rozdarcia.

GRZEGORZ NUREK



● Tomáš Zmeškal, „List miłosny pismem klinowym”, tłum. Dorota Dobrew, W.A.B., Warszawa 2011

## SALON ANGELUSA

Zapraszamy na spotkania z pisarzami nominowanymi do tegorocznej Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus, które odbywać się będą w Księgarni Tajne Komplet, ul. Przejście Garncarskie 2 we Wrocławiu.

18 października, czwartek

godz. 18.00 MICHAŁ WITKOWSKI  
godz. 19.00 ANDRIJ BONDAR

19 października, piątek

godz. 18.00 TOMÁŠ ZMEŠKAL  
godz. 19.00 MILJENKO JERGOVIĆ

20 października, sobota

godz. 16.00 JACEK DEHNEL  
godz. 17.00 MAGDALENA TULLI